Z powodu braku znaczków pocztowych należytość uiszczona gotówką.
Rok II. Nr. 9. Kraków, 5. maja 1920 r. Cena egz. mr. 3·50. (K 5).

ŻYCIE I POWIEŚĆ

DWUTYGODNIK POWSZECHNY

Prenumerata w Krakowie i na prowincyi wraz z przesyłką pocztową wynosi: kwartalnie mrk. 20·—, półrocznie mrk. 38·—, rocznie mrk. 75·—.

Adres Redakcyi i Admin. „Życia i Powieści": Kraków, Karmelicka 16.
Ogłoszenia do „Życia i Powieści" przyjmuje wyłącznie Biuro „Reklama", Kraków, Rynek, ul. Kopernika 6, tel. 3271.

Przejdzie lato, przyjdzie zima.



(*Objaśnienie na str. 2-ej*).

„Przejdzie lato, przyjdzie zima“.

(Do illustracyi).

I.

Puk! puk! w okieneczko
Otwórz! otwórz! panieneczko,
Tyś jest — jako raj!...
Choć fasoli marnej strąki,
Trochę smalcu, trochę mąki
Europie daj!

II.

Na przednówku w kiepskiej porze
Człek się głodzi jako może
I najtęższy schudł,
Prosty stał się dziś kaliką;
Pomóż ciociu, Ameryko!
Bo nas zniszczy głód!

III.

Przyszła jesień — pora złota,
Europę wciąż głód miota,
Aż jej braknie tchu!...
Nam na polu snopy mokną,
Ameryka zamknie okno....
Koniec, koniec snu!...

IV.

Przeszła jesień — przyszła zima,
A nas bieda za łeb trzyma,
Nie żart to — nie śmiech!
Wszystkie zgasły już nadzieje
I śnieg pada... i wiatr wieje...
Piesek z głodu zdechł!...

* * *

Ołtarz wolności.

Dni pożyczki wojennej w Stanach Zjednoczonych.

Święta misya. — „Strips and stars“. — 90.000 mowców agitujących za pożyczką. — Ołtarz wolności. — Damy z towarzystwa bojkotują opornych.

Kraków w kwietniu.

Wypowiedzenie wojny z Niemcami, przyjęto w Ameryce spokojnie, prawie zimno. Wkrótce jednak społeczeństwo wyszło z tej rezerwy niejako i zobojętności. W miarę, jak dojrzewały plany i przygotowania, jak czyny nieprzyjaciela, noszące na sobie piętno zbrodni, obrażały uczucia, jak wzrastała propaganda, z tem większą stanowczością i radością naród wysilił swą wolę, by wojnę wygrać. Społeczeństwo amerykańskie zrozumiało, że prowadzenie wojny, skierowanej przeciw autokracyi i militaryzmowi, a temsamem przeciw samej wojnie, jest jego świętą misyą.

Nastrój wojenny rósł, zapał wzmagał się,

duma narodowa rosła, zaledwie bowiem wojska amerykańskie zjawiły się na froncie zachodnim, odwróciła się karta i szczęście na korzyść aliantów. Sprawozdania z placu boju budziły wszelkie nadzieje, że zwycięstwo będzie niewątpliwe. — Wygrana wojna przyniosła skutki nieobliczalne pod każdym względem, nie tylko bowiem zapewniła Ameryce stanowisko pierwszorzędnego w świecie mocarstwa, które przeważyło wahającą się szalę i rozstrzygnęło ostatecznie wojnę, lecz przyniosła wymienienie myśli państwowej, posłuch dla wszystkich zarządzeń i życzeń, których wojna wymagała, a przedewszystkiem potężny wzrost poczucia i dumy narodowej, a to poczucie narodowe znalazło swój widoczny wyraz w absolutnym autorytecie, który Wilsonowi przyznano jako temu, który stanął ponad partyami, jako dyktatorowi w rzeczach wojny, dalej

w bezgranicznym entuzyazmie dla armii,

można bez przesady powiedzieć w miłości dla ochotników, zwanych u nich „Boys“ i w szacunku i respekcie dla sztandaru.

Chcąc stwierdzić ten wysoki, prawdziwie patryotyczny i gorący nastrój, wystarczyło przysłuchać się odśpiewaniu gdziekolwiek hymnu narodowego „strips and stars“.

Z chwilą, kiedy pierwsze rozbrzmiały tony, na wszystkich twarzach malowała się niezwykła powaga i narodowa duma.

Zorganizowanie i zmobilizowanie wszystkich czynników, koniecznych dla pomyślnego rozstrzygnięcia wojny, odbywało się, jak wiadomo, na olbrzymią skalę i tak dla propagandy na przykład dla czwartej pożyczki wojennej „Liberty—loan“

zorganizowano w Nowym Jorku sto tysięcy ludzi,

których zadaniem wyłącznem było agitować za pożyczką. Nadto ustanowiono w tym celu instytucyę centralną, która miała do dyspozycyi 40.000 mowców, t. zw. czterominutowych i 50.000 mowców-ochotników. Świst syren policyjnych w pewnym dniu o pewnej godzinie obwieszczał mieszkańcom Nowego Jorku, że kampania pożyczkowa rozpoczęta. Pięć minut potem rozbrzmiewały wszystkie gwizdki wszystkich statków i fabryk i pociągów kolejowych i wszystkie dzwoniły dzwony, by przypomnieć, że rozpoczęta akcya około pożyczki, od której nikomu nie wolno się uchylić. Na głównych ulicach zapalono czerwone ognie i w tysiącach egzemplarzy rozdawano odezwy.

W ślad za gwizdem syren szedł huk wstrząsający ze wszystkich okien domów, z których z odpowiednich instrumentów trąbiono i na nich grano.

Następny dzień agitacyi przynosił cały program akcyi. Trzydzieści aeroplanów wznosiło się odrazu w górę, zasypując miasto odezwami; o godz. 8 rano porozwijano flagi państw sprzymierzonych, o 9 rano pochód i demonstracya, o 10 rano drugi pochód, o godzinie 12-tej

poświęcenie t. zw. ołtarza wolności;

wystawiono go na jednym z najbardziej ożywionych placów stolicy, ozdobionych był flagami i emblematami wojennymi i zapisany wyjątkami z mów, wypowiedzianych przez wybitnych mężów stanu.

Przed ołtarzem defilowały przy dźwiękach muzyki oddziały wojsk, wśród niesłychanego entuzyazmu niezliczonych tłumów. Wszystkie wozy i automobile zaopatrzono w czerwone tablice, na których widniały białe napisy „Lends“ (podpisujcie pożyczkę).

Magazyny i sklepy urządzały specyalne wystawy, przedstawiające sceny, zohydzające wrogów. Na wszystkich ścianach i murach rozlepiono afisze: Pomóżcie żołnierzom do zwycięstwa! Wybierajcie albo miejsce pod słońcem, lub upadek, który gotują wam Hunowie! (Hun or Sun). Treść afiszy popierano obrazami, przedstawiającymi atak „Boys“ na Prusaków.

Wszystkie te szczegóły

były właściwie jednak dopiero wstępem

do właściwej agitacyi. Niektóre momenty były ciekawe, oryginalne, a przedewszystkiem komiczne. Przejawiała się w nich tendencya ośmieszenia niemieckiego cesarza i Prusaków i podniesienia nastroju wojennego. Za orkiestrą, ubraniem i paradnym krokiem przypominającym Niemców, poruszał się olbrzymi okręt lub tank, z którego agitatorzy przemawiali. Damy z towarzystwa krążyły po restauracyach i publicznych lokalach wymuszając na tych, którzy nie wylegitymowali się dowodem podpisania pożyczki, by ją bezwłocznie podpisali. Nie gardzono żadnym środkiem reklamy.

Dama z towarzystwa spinała się po drabinie na dwunaste piętro,

celem ściągnięcia publiczności, którą ustawieni żołnierze chwytali, przyciskali do piersi i nakłaniali do podpisania pożyczki.

Nic tedy dziwnego, że przy tej energii i środkach reklamy czwarta pożyczka przyniosła sześć miliardów dolarów i trzydzieści miliardów franków.

*

Przed kilku dniami ministerstwo skarbu w Warszawie ogłosiło subskrybcyę na pożyczkę. Niestety, mi-

mo odezw, pożyczka nie płynie tak, jak tego wymaga położenie naszego kraju i powaga naszego narodu. W pewnych sferach panuje dziwna zaiste dla pożyczki obojętność. Ludzie ci nie doceniają widocznie doniosłości i znaczenia tej sprawy, w samej sobie przecież tak jasnej i prostej. Gdzie niema skarbu, niema wojska i t. d.

Ociągamy się, oglądając się na pomoc koalicyi i spodziewając się po niej wsystkiego. Zdaje nam się, że koalicya wszystko uczyni, byśmy tylko raczyli być z niej zadowoleni, a zapominamy o tem, że cokolwiek koalicya czyni, nie czyni dla sentymentu, lecz dla interesu, a interes jej wymaga łączyć się i wiązać tylko z tym, który będzie miał zdolności poprzeć jej interesy. My zdolności tej na razie nie posiadamy, a nie posiadamy jej, nie podpisując pożyczki, od której wszystko zależy.

Kto jest uczciwym Polakiem, niech spieszy do banków, niech grosz choćby ostatni wyciśnie, niech się oszczędzi, niejednego sobie odmówi i spełni obowiązek, który ojcowie nasi byliby z radością spełnili, gdyby im dana tylko była możność spieszenia ojczyźnie z pomocą.

Życie i śmierć w Petersburgu.

Mimo całej nędzy i wszystkich nieszczęść dokoła — tak donoszą do jednego z dzienników londyńskich — w Petersburgu panuje wesołość i huczne życie towarzyskie w niewielu otwartych jeszcze lokalach i restauracyach. Sowiety naznaczają ceny za rzecz każdą, ale za te ceny nie dostaniesz niczego. Kto wystąpi z żądaniem po tych cenach towarów, otrzymuje odpowiedź, że ich niema, kto jednak ma pieniądze w dostatecznej ilości, może zająć miejsce obok bolszewickich oficerów i postrojonych ich dam i nie brak dlań szampana, ani kawioru. Skromna kolacyjka jednak kosztuje bajeczną sumę w rublach. Policyjnej godziny zamykania niema wcale, każdy robi, co mu się podoba. Ulice są w strasznym stanie i niektóre zaledwie służą do komunikacyi.

Codziennie odbywają się setki pogrzebów publicznie, poza niemi zaś doliczyć należy niezliczone ilości zmarłych, wyprowadzanych potajemnie ze szpitali i chowanych cichaczem. Tyfus szaleje, a ani jedna apteka nie jest otwartą. W hotelach obsługuje gości częstokroć z wolontaryuszy zorganizowana służba, wśród której znajdują się hrabine, a nawet wyżej w hierarchii społecznej stojące damy. Wśród bolszewików objawia się szczególniejsza „passya“ do gromadzenia klejnotów. Korespondent londyńskiego pisma opowiada, że o noszony przezeń brylantowy pierścień nagabywany był już niezliczoną ilość razy.

Wracając do Zachodniej Europy widział wciąż po drodze opustoszałe wioski, w których z żadnego komina nie unosił się dym, świadczący, że tam są ludzie... Zgrozą przejmujący widok.

Z tamtego świata.

W nowo obecnie wydanych pamiętnikach księżnej Pauliny Metternich, znajdujemy następującą ciekawą anegdotę z owego skrzącego subtelnością i dowcipem francuskiego świata epoki drugiego cesarstwa.

Cesarzowa Eugenia lubiła gromadzić u siebie grono miłych causerów na swobodnych pogadankach. Do najdowcipnejszych ludzi w Paryżu należał Lachand, słynny jako adwokat i znakomity obrońca, wzruszający głęboko swoimi doskonałymi mowami zarówno sędziów, jak publiczność.

Pewnego wieczoru cesarzowa sprowadziła rozmowę na ten temat i gratulowała Lachandowi daru jego wymowy, pytając przytem, czy zawsze udaje mu się wywrzeć na trybunał pożądane wrażenie.

Tak jest, najjaśniejsza pani — odparł adwokat — przysięgli, to dla mnie skrzypce do nastrojenia, a i sędziów wzruszam zawsze do łez.

Obecny przy tem prokurator, Oskar de Vallec, sprzeciwił się tej pochwale własnej. — mnie najpiękniejsze pańskie zwroty stylowe nie wzruszają bynajmniej — rzekł.

Na to Lachant przypomniał prokuratorowi rozprawę, podczas której widział łzy w jego oczach.

O, to myli się pan — zaprzeczył tamten — wówczas bynajmniej nie pańskie wywody mnie wzruszyły, ale odczytany przez pana list matki oskarżonego. W tych prostych słowach wypowiadała się niezmierzona głębia macierzyńskiej czułości i bólu nad nędzą syna.

Wtedy rzekł Lachand, powstając ze swego miejsca: Jednak ja, i tylko ja jedynie wzruszyłem pana do łez, bo list ten ja sam napisałem. Ta poczciwa staruszka bowiem dawno już nie żyła, lecz ja ją dla obrony syna z grobu wskrzesiłem.

* * *

Samolotem ponad Afryką.

Z Kairo do Kapstadtu.



Po raz pierwszy udało się lotnikowi przebyć przestrzeń powietrzną z Kairo do Kapstadtu. Holender Rynefeld, który na początku marca odleciał z Kairo z angielskim majorem Brandem przybył do Kapstadtu 19 marca po wielu przymusowych przestankach w podróży. Lotnicy przebyli przestrzeń ponad 7.000 km.

Równocześnie odbył się lot nad Saharą, który pociągnął za sobą tragiczną śmierć gen. Laparina. Rycina nasza przedstawia linię podróży i rozmaite charakterystyczne typy awiatów.

M. STEVENSON.

Sobowtór Alicyi.

Powieść z życia amerykańskiego.

15 (Dalszy ciąg).

— Otóż chodzi o ten zakład dla waryatów. Dawny lekarz naczelny został usunięty, a jego miejsce zajął człowiek rozsądny, niejaki Howson, który względem mnie ma specyalne obowiązki wdzięczności. Jeżeli więc pan życzyłby sobie teraz zwiedzić zakład, to chwila jest najodpowiedniejsza... Howson może będzie miał pewne skrupuły, ale ostatecznie mnie nie odmówi!...

— Doskonale! Zależy mi więcej niż kiedykolwiek na obejrzeniu tego tajemniczego sanatoryum...

Oczy Traddletona zaiskrzyły się ogniście, usta ściągnęły mu się wyrazem mocnego postanowienia.

— Doskonale! Zatem zrobione!... Ukradnij pan lub pożycz sobie dyplom doktorski, przejrzyj anatomię Foulera i przyjedź najbliższym pociągiem z Europy!... Będzie pan robił młodego doktorka, który pragnie połykać mądrość amerykańską wazowemi łyżkami.

— Zgoda. Ale teraz niech pan mnie posłucha, ja panu coś opowiem!...

Mały doktór zrobił wielkie oczy, kiedy mu Traddleton opowiedział o porwaniu małego Claxtona i liście otrzymanym przez kapitana Rohana, skoro zaś posłyszał o nowym punkcie widzenia Greya, jął się bić pięściami po kolanach.

— Niechże to dyabli wezmą! — wybuchnął doktór Flack — więc pan chce grać podwójną grę... Udaje pan, że celem pańskich poszukiwań jest wyłącznie mały Claxton i pod tą pokrywką będzie pan dążył do głównego celu... Ale, proszę, powiedz mi pan, czy pan istotnie plany swoje opiera na tym kawałku czerwonej zahaftowanej wstążki?

— Istotnie. Mam bowiem pewną podstawę do przypuszczenia, że wstążka ta jest rzeczywiście sygnałem alarmowym. Pani Porrington twierdzi mianowicie, że poznała pewien ulubiony ścieg panny Alicyi... Kochany doktorze, sądzę, że zobaczymy się wkrótce. Mogę na pana liczyć?

— Z wszelką pewnością!... Niech pan tylko zatelefonuje. A zatem dowidzenia!...

ROZDZIAŁ XVII.

Cornet się zjawia.

W Nowym Jorku istnieje mnóstwo lokali spokojnych, przyzwoitych, solidnych, w miarę eleganckich, gdzie chętnie bywają ludzie ze sfer średnio zamożnych, lokale, do których mężczyzna z całym spokojem wprowadza żonę, córkę lub narzeczoną, nie obawiając się, że wystawia ją na atak aroganckich spojrzeń i bezczelnych uwag. Do takiej to spokojnej, czystej a eleganckiej restauracyi wszedł Traddleton, i krokiem człowieka, doskonale obznajmionego z terenem, skierował się w róg sali, aby tam usiąść przy siwym człowieku o charakterystycznej fizyognomii.

— Nasze stare miejsce — rzekł — uścisnąwszy siwemu człowiekowi rękę — Carnes, zamów pan coś i pogadamy!... Jak tutaj miło i zacisznie — wymarzone miejsce do poufnej pogawędki!... Carnes, czy chcesz mi dopomódz?

— W czem?

— Pamiętasz pan historyę wprowadzenia Alicyi Irving?

— Owszem. Cóż się stało? Czy znowu zniknęła?...

— Hm... właściwie nie... To jest... No! ja to panu wszystko opowiem!...

— Traddleton krótko a treściwie wtajemniczył swego towarzysza w przebieg całej sprawy.

— Do krocset piorunów! — wykrzyknął Carnes — ależ to istny melodramat!... Niewiadomo tylko czy rozwiązanie będzie farsowe, czy tragiczne...

— I ja nie wiem...

— Dowody są dosyć niedokładne — ciągnął dalej Carnes, wychyliwszy swą szklankę wina. — Dla mnie najbardziej podejrzanem wydaje się postępowanie panny Irving wobec Reginalda Grya... To tak wygląda, jakby ta panna chciała udawać zakochaną, ale ale z niezbyt wielkiem powodzeniem, bo... za tem wszystkiem kryje się inny — ten prawdziwy!...

— Carnes, masz racyę... I ja jestem o tem najmocniej przekonany!...

— Muszę panu jednak zwrócić uwagę, że żeście pominęli bardzo ważny punkt.

— Mianowicie?!

— Zapomnieliście o tamtej zaginionej dziewczynie — o tej pannie Harrison...

Traddleton uśmiechnął się:

— Nie pominęliśmy bynajmniej. To znaczy, że ja osobiście pamiętam o tem i kto wie, czy nie pamięta także Briddger... Mam wrażenie, że ten człowiek więcej kombinuje, niż mówi...

— I o tem będzie pan prowadził dalej sprawę?

— Tak! A to pełną parą! Ta panna chce jechać do Chicago. Musimy ją śledzić!... Musimy się dowiedzieć, kto tam siedzi w więzieniu. — Pan mi dopomoże?...

— A Briddger?

— Nic nie wie o tem, że ja wciągnąłem! Zresztą jego wola ma polegać na czem innem... On powinien jasno i otwarcie ofiarować jej swe usługi i pomoc, gdyby tego potrzebowała... Sądzę, że w drodze spotkają się w drodze niby przypadkowo... Pan zaś będzie ją śledził niepostrzeżenie... Na wszelki wypadek musi pan mieć przy sobie rozkaz aresztowania panny Harrison?...

— Aresztowania ją? zaco?

— Przypuśćmy za udział w wystąpnej mowie...

— Dobrze, słuchajno, Traddleton, a co ty myślisz o tem sanatoryum...

— Zdaje mi się, że albo w tym tajemniczym zakładzie, albo w którymś z sąsiednich domów znajdziemy poszukiwanych więźniów... Naprzód chcę sobie tn zakład zblizka obejrzeć, a gdyby się tak stało, jak przypuszczam, to może wkrótce przybędzie tam nowy pacyent...

Rozumiem! Życzę powodzenia. Jeszcze jedno, Traddleton. Bardzobym pragnął przyjrzeć się bliżej pańskiemu przyjacielowi Briddgerowi, którego znam dość powierzchownie. Czy dałoby się to zrobić!

— Oczywiście?

— Kiedy?

— Choćby zaraz. Chodź pan ze mną... Pójdziemy do Briddgera. Może go zastaniemy w domu.

Szczęście im sprzyjało, kiedy weszli do westybulu Traddleton położył rękę na ramieniu Carnesa i szepnął mu do ucha:

— Oto on!... Właśnie zjechał windą na dół i w tej chwili wysiada... To ten w szarym płaszczu... Niech pan go obserwuje niepostrzeżenie.

— Traddleton i Briddger rozmawiali przez chwilę ze sobą, przyczem Carnes z ukrycia przypatrywał się uważnie młodemu adwokatowi.

— Pani Dalmeny chce z panem mówić — rzekł Briddger — zdaje mi się, że ma panu coś ważnego do powiedzenia.

— Czy tak? W takim razie udam się zaraz do niej?

Detektyw pożegnawszy się z Percym wszedł do windy zaraz z Carnesem.

Traddleton nie odrazu pospieszył do swej przyjaciółki-wróżki, bo w swojem biurze zastał czekającego nań człowieka.

— A! Robby!... jesteś — zawołał Traddleton — co nowego słychać?... Mów śmiało. Carnes może słyszeć.

— Historya z naprawą drutów telefonicznych doskonale się udała... Naprawialiśmy te druty tuż-tuż przy wielkim domu w bezpośredniem sąsiedztwie zakładu dla waryatów...

— Pamiętam dobrze ten dom — rzekł Traddleton takim zabawnym tonem, że iCarnes i Robby Daws musieli się roześmiać.

— Zatem ten dom ma dwa piętra i mansardowy strych z całym rzędem okien, zaopatrzonych w firanki i rolety... Niektóre z tych okien są otwarte, tak iż sprawia to wrażenie, jakby dom był pełen ludzi. Właśnie w pobliżu był drut telefoniczny zerwany, więc wdra-

pałem się na wysokie drzewo, aby go naprawić... I jak pan myśli co odkryłem?...

Daws przerwał nagle.

— Robby, nie rób pan efektownych pauz! Cóż pan zobaczył?

— Te wszystkie okna razem z firankami, storami, futrynami — to nic innego jak tylko malowidło!...

— Malowidło?...

— Tak! Malowidło, ujęte w ramy!... Wszystko to oszustwo — oszustwo na gruby kamień!...

— Więc w jaki sposób przenika światło na ten strych?

— Przez górne okno.

— Czy to wszystko Robby? Dziękuję panu. Spisałeś się dzielnie. Tylko tak dalej... Oczy i uszy ma otwarte!...

(C. d. n.).

Mama strejkuje...



Żyjemy w okresie strajków. Że nie są one — jakby chcieli nasi wrogowie, jedynie „specyalnością“ polską, lecz wynikiem stosunków ekonomicznych na całym świecie, — o tem przekonać się może czytelnik każdego dziennika. Karykaturzyście duńskiego pisma humorystycznego „Zwikmühle“ nasunął się pomysł przedstawienia sceny w domu, gdzie zastrajkowała mama kilkorga pociech. W domu oczywiście „Sodoma i Gomora“.

Tajemnica.

Świat jest pełen tajemnic.

Otaczają one nas dookoła, jak powietrze. Nikt jednak nie zdaje sobie trudu zbadania ich treści, za wyjątkiem uczonych, którzy zgóry przyjęli najmądrzejszą, niedostępną dla laików zasadę:

— To wiem, że nic nie wiem.

Laicy postanowili przeciw tej zasadzie zbudować wieżę Babel i postanowili czytać pisma.

Zresztą uczeni badają tylko rzeczy wielkie. Życie, ordynarne życie nic ich nie obchodzi tak dobrze jak i paskarzy. Uczeni dążą do wiedzy, paskarze do pieniędzy. I jedni i drudzy mają cel pojedynczy.

Laików obchodzą cele ogólne, a jednak ulegają wszyscy bezwzględnemu przekonaniu, że tajemnicy badać nie należy, dlatego, że przestałaby być tajemnicą.

Naprzykład tajemnicą jest każda podawana nam potrawa i dlatego nikt nie bada jej zawartości, ani znaczenia.

Zresztą gdyby nawet starał się zbadać. natrafiłby na nieprzezwyciężone przeszkody.

Ktoś chciał złamać ogólną zasadę i postanowił zjeść prawdziwy befsztyk tatarski. Ponieważ było to w czasach, gdy jeszcze droga do kraju tatarskich stała otworem, pojechał między Tatarów i zażądał befsztyku tatarskiego.

Najstarszy Tatar nie pamiętał, aby kiedykolwiek podobna potrawa istniała wśród Tatarów.

Wtedy zabrał jednego z najinteligentniejszych Tatarów, przywiózł go do Warszawy i kazał mu w restauracyi podać befsztyk tatarski.

Tatar na widok podanej potrawy wybił szybę i wyskoczył oknem (restauracya była na parterze). Schwytany przez ówczesną policyę, oświadczył, że nigdy nie przypuszczał, ażeby naród, który bądź co bądź trochę zaczerpnął kultury tatarskiej przynosił tak wyglądającą masę na talerzu do pokoju.

Ktoś inny znów, już podczas niepodległej Polski, zapytał fabrykanta czekolady z czego się robi czekoladę?

Fabrykant czekolady, który jednocześnie prowadził hurtowny handel korą drzewną i palonymi kopytami cielęcymi, wziął zapytanie za osobistą obelgę i wyzwał ciekawskiego na pojedynek.

Fabrykanci czekolady są przynajmniej w tem szczęśliwem położeniu, że mogą wyzwać na pojedynek, z wielkiem prawdopodobieństwem zjedzenia wyśmienitego śniadania, na co sobie nie mogą pozwolić inni fabrykanci tajemnic, tak zwani kucharze pierwszej klasy, (według własnego przekonania), bo nikt ich nie pyta o skład potraw, a śniadań przygotowywanych przez siebie samych nie jedliby za nic na świecie.

Jeżeli lubią tajemnicę — lubią ją dla jej samej. Nikt też nie wytłumaczy, nawet oni sami, dlaczego w restauracyach warszawskich jeden i ten sam deser codziennie inaczej się nazywa. Nikt nie pojmie dlaczego w Astoryi lody z powidłami nazywają się jednego dnia lodami z owocami, a drugiego nadają im miano „Melba“?

Pomimo to kraj nie upada, lecz rozwija się coraz lepiej.

Ludziska się przyzwyczaili, a przyzwyczajenie jest drugą naturą. Jedząc jednego dnia taką mieszaninę są przekonani, że jedzą lody z owocami, a drugiego dnia — melbę.

Przyzwyczaili się zresztą tak do tajemniczości, że wszędzie widzą tajemnice.

Pan Jan H...s spotyka na przedniej platformie tramwaju, swego kolegę p. Izydora P...a, z którym popełniał jakąś politechnikę zagraniczną.

— Jak się masz kolego? — pyta ucieszony pan Izydor — cóż ty porabiasz?

Phi... pracuję na posadzie..., a kolega?

— Ja prowadzę dużą gorzelnię...

Pan Jan tak przywykł do tajemniczości, że zapytał bezwiednie:

— Czy potajemną?

Pan Izydor zzieleniał i wyskoczył w biegu z tramwaju...

Pan Jan jako człowiek, który mógł zostać uczonym, z prawem badania tajemnic, zapomniał, że laikom nie wolno badać tajemnic.

T. Modrzejewski.

Fantazya a rzeczywistość,

„Samolotem dookoła świata". — Realizacya marzenia. — 10.000 godzin w powietrzu. — Najznakomitszy pilot polski.

Kraków.

Literatura polska posiada fantastyczną niegdyś a realną dzisiaj powieść znakomitego pisarza dla młodzieży — Władysława Umińskiego. Jest to książka zatytułowana „Samolotem naokoło świata" — podróż fantastyczna. Autor opisuje w niej niedoścignione marzenia ludzkie zupełnie swobodnego przelatywania z miejsca na miejsce, **a nawet fantazyuje możliwość przelotu dookoła ziemi.**

Jeśliby któryś z dzisiejszych lotników lub nawet przeciętny śmiertelnik uświadomiony trochę o lotnictwie, wziął tę książkę do ręki, zauważyłby, iż **wszystko, co autor uważał za marzenie, stanowi dziś rzecz zupełnie realną.** Czas utrzymywania się w powietrzu, szybkość lotu i t. p. podawane przez Wł. Umińskiego, są dziś nietylko osiągnięte, ale i przekroczone. Chociaż coprawda nie obleciano jeszcze dookoła świata, lecz znamy przelot przez Ocean Atlantycki, znamy lot z Londynu do Australii, znamy przeloty przez pustynię Afryki i t. p. **I to, co niedawno stanowiło jeszcze wizyę, dziś jest rzeczywistością.**

Polska posiada człowieka, który zsumowawszy linie swych poszczególnych lotów, otrzymałby zdumiewającą długość, wynoszącą kilkadziesiąt okrążeń kuli ziemskiej. Znakomitym pilotem tym jest p. Adam Haber-**Włyński,** który święcił niedawno dziesięciolecie dyplomu lotniczego i **10.000 godzin unoszenia się w atmosferze.** Jeśliby nawet przyjąć średnią szybkość lotu p. Haber-Włyńskiego w całym tym dziesięcioletnim okresie za 130 klm. godzina, to okazałoby się, iż przeleciał on 1,300.000 klm., a **więc 30 obwodów ziemskich.**

Lecz nie nastąpił jeszcze kres rozwoju lotnictwa i dzisiejsze fantazye na ten temat mogą się w przyszłości urzeczywistnić.

Z czasem uda się może latać, poruszając skrzydłami na wzór ptaków.

Trup wisielca w rzece.

Skąpiec, który się powiesił z rozpaczy, że musiał wypłacić córce wiano.

We wsi Szyszków pod Widzowem w ub. tygodniu powiesił się tamtejszy gospodarz Antoni Jezik. Przyczyna do tak rozpaczliwego kroku była następująca: Jezik, wydając za mąż córkę dał zobowiązanie piśmienne zięciowi, że po pewnym okresie wypłaci mu w gotowiźnie 9 tysięcy rubli, tytułem wiana. Termin się zbliżył i gotówkę wypłacono, lecz zrozpaczony taką wypłatą gospodarz, tak się głęboko przejął, że postanowił odebrać sobie życie.

Zamach samobójczy wykonał, wieszając się w nocy na strychu własnej zagrody. Wisielca pochowano na cmentarzu w osadzie Pławno.

Oburzeni pogrzebaniem wisielca na cmentarzu, parafianie wydobyli nocą trupa z grobu i wrzucili do pobliskiej rzeki Warty, twierdząc, że dla samobójców jest miejsce w rzece, a nie na poświęconem miejscu.

* * *

PIOTR THIBAUT.

Ku sławie.

Bolesny pochód w pięciu etapach.

Celestyn Savate, niższy urzędnik policyi, postanowił zużytkować swoją wyobraźnię, swoje zdolności stylowe i ambicye literackie, krótko mówiąc, powziął zamiar napisania powieści dwutomowej, któraby przyniosła sławę i majątek.

Pewnego dnia zasiadł przy stole nad stosem papieru kancelaryjnego, wziął pióro do ręki i po długim namyśle napisał na arkuszu tytuł:

Arteryo - sklerosa.

Powieść salonowa i sportowa.

Zaledwo zdołał nakreślić ten obiecujący tytuł, kiedy nad jego głową rozszalała się burza niewieściego gniewu.

— Ośle dardanelski, — ryczał głos rozwścieklonej niewiasty — ty nie umiesz obetrzeć talerza ścierką tak, żeby go nie stłuc, a chciałbyś pisać powieści „salonowe"!

Poznał miły głosik swej energicznej połowicy pani Savate, która pilnie chwytała każdą wydarzoną sposobność, aby dać poznać mężowi, że jej baczne oko czuwa nad nim.

— Być może — szepnął Celestyn, — że ona jednak ma racyę.

Ogarnęło go zwątpienie w swój geniusz i tego dnia nie napisał już ani słowa.

Noc przyniosła mu dobrą radę.

Uzbrojony w zapasy świeżego natchnienia, zasiadł znowu do pisania. Po chwili na pierwszym arkuszu zaczerniły się słowa, napisane pewną ręką:

Kopniaki okultystyczne.

Powieść psychiczna i seperatystyczna poświęcona panu B...

Nie mógł dokończyć dedykacyi. W pokoju huczały gromy wymyślań i obelg:

— Niezdaro, niedołęgo, wałkoniu! Ty nie umiesz zadowolić swej rodzonej żony, a zdaje ci się, że potrafisz napisać powieść „psychiczną"!

Celestyn poznał głos pani Savate, swej małżonki, która właśnie otworzyła oczy ze snu.

— A jednak, — szepnął — kto wie, może ona ma racyę!

Podarł arkusz z napisanym tytułem, ponieważ zwątpił w swój geniusz.

Późnym wieczorem, kiedy legalna połowica spoczywała już w łóżku, Celestyn Savate postanowił otrząsnąć się z bezczynności umysłowej, w jaką pogrążyło go niepowodzenie poranne.

Chwycił za pióro, zmaczał je w kałamarzu, pochylił twarz nad papierem i napisał:

„Ach, ukochany..."

Romans namiętności.

Nie mógł pisać dalej. Powietrze pokoju przeszył wybuch piekielnego śmiechu:

— Bałwanie! Jeżeli o tem będziesz opowiadał, coś przeżył, to twój romans nie będzie długi.

Celestyn Savate poznał znowu głos pani Savate, swojej prawnie poślubionej małżonki, która nie spała jeszcze pomimo spóźnionej pory.

— A przecież... — szepnął — może ona ma racyę... Zwątpił w swój geniusz i położył się spać.

Minął tydzień w bezczynności, kiedy nagle Celestyn Savate poczuł, że mózg jego rozświetliła nowa myśl twórcza. Pobiegł do stołu, pochylił nad nim swój grzbiet wychudzonego kota i pospiesznie napisał:

„Kozioł ofiarny i megera".

Romans małżeński.

Nad głową jego znowu zahuczała straszliwa burza:

— Morderco! bandyto! — wyła pani Savate natychmiast rzuć mi te obrzydliwe bazgroty do pieca!

Ale Celestyn nie wątpił już w swój geniusz, więc spokojnie mruknął tylko:

— Hm... i dalej wytrwale zapełniał papier drobnym swym maczkiem.

Powodzenie powieści było nadzwyczajne! W przeciągu jednego miesiąca rozchwytano dziesięć wydań. Wszyscy mówili o tem arcydziele, a autor jego zaznał pocałunków sławy i uśmiechów fortuny.

— Drogi, wielki człowiek, — rozczulała się pani Savate — to ja byłam jego muzą.

(Tłum. z francuskiego) **mjm.**

W dziewiczych krajach Afryki.

15 (Dalszy ciąg).

— Potrzeba uśpić baczność Gobbiego — rzekł do nich. — Będziemy ścigani niezawodnie; potrzeba więc, abyśmy między nim a nami mieli przynajmniej jeden dzień drogi, a zgodzicie się, że to rzecz niełatwa ukryć przed wszystkiemi nieobecność naszą przez całą dobę.

— Cóż więc myślisz zrobić? — zapytał Barthet.

— Czekać, albo sprowadzić przyjazną sposobność; tymczasem zrobicie to, co wam zalecę.

— Rozkazuj, będziemy posłuszni.

— Jutro zaraz powiecie Gobbiemu, żeby oddał wam rekrutów do nauki.

— Ależ ja się nic na tem nie znam— przerwał Guilois — to dobre dla Barthета, który rzeczywiście jest wojskowym; nie szpadę wypadałoby dawać urzędnikom komisaryatu, ale wielkie pióro przez ramię; jesteśmy gryzipiórki i Gobbi rychłoby poznał, że nic nie umiem.

— Będziesz naśladował swego towarzysza, a jeśli wolisz, wynajdziesz jakiś manewr szczególny... U murzynów każdy biały jest żołnierzem. W każdym razie starajcie się o ile można, by się wydawało przynajmniej, że traktujecie na seryo rzemiosło swoje. Kiedy nadejdzie pora, uwiadomię was w przeddzień, a do tego czasu będziemy się widywali jak najrzadziej. Gdybym przypadkiem miał coś ważnego do zakomunikowania, przyślę mojego murzyna, M'Kuniego, któremu ufać możecie jako człowiekowi wierności wypróbowanej.

W tej chwili brytan Laenneka, który go nigdy nie opuszczał, podniósł się na przednie łapy i zaczął silnie węszyć powietrze w kierunku królewskiego pałacu.

— Co to jest, Wierny? — spytał go pan — czyżby jakiś dozorca śmiał zmierzać w tę stronę?

Ogromny pies warknął głucho i przyjął postawę, która zdawała się wskazywać gniew i niespokojność.

— Oto najlepszy nasz sprzymierzeniec w projektowanej ucieczce — rzekł Laennec, kładąc z miną zamyśloną, rękę na głowę psa swojego. — Poczciwe psisko! jedyny prawdziwy mój przyjaciel... Ileż już razy w podróży ocalił mi życie!... Tak, jak go widzicie panowie, walczy on skutecznie z jaguarem i panterą i nie wahałby się rzucić na lwa, gdyby go spotkał. Jest to jeden z owych olbrzymich brytanów angielskich, co to zatrzymują konia w galopie i z bykiem dają sobie radę. Dostałem go szczenięciem przed trzema laty od pewnego mulata, handlarza niewolników. Wychowałem go, rzec można, na mojem łonie, pielęgnując jak dziecko... To też biada temu, ktoby na mnie śmiał podnieść rękę! w jednej chwili zostałby rozszarpany.

Nowe warczenie Wiernego, głośniejsze od pierwszego, słyszeć się dało i pies chciał się rzucić w krzaki... Pan powstrzymał go w porę, ale uważał za stosowne skrócić swą wizytę.

— Odchodzę, panowie — rzekł po cichu do więźniów. — Nie wiem, kto się tu włóczy; dosyć byłoby puścić Wiernego, ażeby pożałował swego nocnego zuchwalstwa, ale lepiej będzie, jeśli Gobbi się nie dowie, żeśmy widzieli się tej nocy... Bądźcie zdrowi! pamiętajcie o radach moich i oczekujcie cierpliwie chwili oswobodzenia.

W kilku susach Laennec był na końcu mufui. Odgarniając trawy wysokie, przeczołgał się na brzuchu przejściem sobie tylko znanem przez nieprzebytą zagrodę krzaków ciernistych, lian i figowców berberyjskich, kaktusów i bambusów splecionych, które od tej strony broniły przystępu do pałacu Gobbiego.

Ledwie zniknął, kiedy murzyn, czołgający się za śladem jego, podniósł się nagle z ziemi przed zaporą naturalną, której przebyć nie mógł i przestraszony wielce, że już nie widzi Momfu-Sambu, pobiegł z całych sił ku pałacowi i rzekł do Gobbiego:

— Panie! Momtu-Sambu ma gri-gri, które robi go niewidzialnym!

XV.

Wyswobodzenie. — Pustynia Congo. — Pogoń. — Goryle. — Napad słoniów. — Ocalenie.

Blizko miesiąc ubiegł, a Yves Laennec nie uważał za właściwe dawać znaku życia i dwaj przyjaciele rozpaczać już zaczęli, kiedy jednego rana odebrali za pośrednictwem M'Kuniego, murzyna posiadającego całe zaufanie Bretończyka, małą deszczułkę bukową, na której końcem noża nakreślone były o tyle o ile następujące wyrazy:

„Krewny Gobbiego umarł; skorzystamy z orgii, jaka nastąpi tej jeszcze nocy. Kiedy M'Kuni po was przyjdzie, idźcie za nim bez wahania. Wszystko gotowe, bądźcie odważni... broń dla was mam“.

Niepodobna opisać radości, jaka przepełniła serca Bartheta i Guillois. Nie ukrywali oni przed sobą niebezpieczeństw, na jakie narażać się mieli, ale postanowili raczej odważyć się na wszystko, niż znosić jeden dzień dłużej okrutną swą niewolę, w której życie ich nieustannie zależało od kaprysów dzikiego człowieka.

Zaledwie odczytali posyłkę Laenneca, kiedy Gobbi przysłał im rozkaz asystowania wraz z batalionem, który im powierzono, uroczystościom pogrzebowym.

Ciało zmarłego siostrzeńca królewskiego przyniesiono z wielką wystawnością na środek głównego placu miejskiego, a wszyscy naczelnicy podlegli Gobbiemu, przychodzili składać mu hołdy wedle pierwszeństwa urodzenia i stopnia w armii zajmowanego. Każda gromada żołnierzy zajęła przeznaczone sobie miejsce, a wszystkie oddziały ustawione były około zmarłego. Wtedy pewna liczba gangasów przyniosła posąg wielkiego fetysza Maramby, przed którym rozpoczęto najdziwniejsze tańce w kostyumach odpowiednich okoliczności.

Ciało, i wysuszone poprzednio na wolnym ogniu i pokryte gatunkiem czerwonego iłu, miało być wystawione przez dni trzy na widok publiczny, w które cała ludność obowiązana była oddawać się tańcom przeplatanym dzikiem wyciem, od wschodu do zachodu słońca, nic nie jedząc, ani pijąc przez dzień cały. Każda noc poświęcona była spijaniu się wódką i napojami wyskokowymi.

Obrzędy pogrzebowe w tej części Afryki, wbrew temu, co się dzieje w Azyi naprzykład, pozbawione są całkowicie jakiegoś wyższego znaczenia. W całem Congo nie istnieje w tym razie ani jedna ceremonia, któraby wychodziła za obręb najgrubszego zabobonu.

Oficer marynarki Degrandpré, który w wieku przeszłym długo podróżował wśród ludów zamieszkujących dolne porzecze Congo, ciekawe podaje szczegóły, dotyczące zwyczajów pogrzebowych u krajowców tamtejszych, oraz sposobów przechowywania zwłok zmarłych osób.

Skoro mieszkaniec umiera, ubierają go w najkosztowniejszą jego odzież i wystawiają pod szopą, dokąd przyjaciele dwa razy dziennie opłakiwać go przychodzą.

Nazajutrz poza szopą budują niewielką chatę dla trupa i zamiast zwłok wystawiają ich podobiznę, której w dalszym ciągu oddają takie same honory pośmiertne.

Trupa zaś obmywa się tymczasem mocnym odwarem manioku, który ma własność wysuszania skóry i wybielania jej jak wapno. Następnie układają go w pozycyi przepisanej przez gangasów, a mianowicie: twarzą zwróconą ku zachodowi, z kolanami nieco zgiętemi, lewą nogą podniesioną ku tyłowi, prawem ramieniem zwieszonem pionowo, prawą ręką zamkniętą zwróconą ku wschodowi, ramieniem lewem podniesionem, ręką lewą otwartą z palcami rozstawionymi i zwróconymi ku zachodowi, jakby muchę łapała w locie. Skoro ciało tak jest ułożone, rozpalają pod niem ogień niewielki, ale ciągły, wyjmują wnętrzności, a ciało wysuszają na pergamin. Wybielone dostatecznie pokrywają grubą powłoką gliny czerwonej, a kiedy ta wyschnie, zaczynają obwijać w tkaniny. Z początku obwijają je w płótna miejscowe, zwane

makutami, dopóki nie utworzy się już za małą. Wtedy budują drugą większą i znowu ciało obwijają ma-wielki bałwan, dla którego chatka jest kutami, dopóki spadkobierca nie uzna, że nieboszczyk dosyć już jest gruby. Wtedy z wierzchu na makuty przychodzą tkaniny europejskie, płócienka, perkaliki, żagnoty, a nawet jedwabie wedle godności i bogactwa rodziny.

W dzień naznaczony, niekształtną tę masę kładą w dół, w którym zrobiono chatę bez dachu, odpowiedniej dla pomieszczenia ciała wielkości. Do grobu kładą pokarm i napój, zakładają z wierzchu rodzajem pokrywy, którą przysypują ziemią, kładąc kilka kamieni dla naznaczenia miejsca pochowania.

W niektórych okolicach gangasowie, przed złożeniem zwłok do dołu, otrzymują jako zapłatę wszystkie tkaniny, w które ze szczodrobliwości rodziny były one obwinięte.

Ceremonie te bywają odmienne wedle prowincyi, a nawet w różnych wioskach bywają rozmaite.

Według Cavazziego, skoro murzyn umrze w Matambie, niewolnicy jego, krewni, przyjaciele, golą sobie całkowicie głowę na znak żałoby, a wytarłszy ją oraz twarz olejem, posypują proszkami rozmaitej barwy z dodatkiem pierza i tłuczonych liści suchych.

Obrzęd ten zachowuje się jedynie przy śmierci zwykłych prywatnych osób; po zgonie monarchy, albo naczelnika plemienia, golą sobie tylko wierzch głowy i obwiązują ją wstęgą z płótna lub kory drzewnej; następnie zamykają się przez tydzień w chacie i nie wychodzą z niej pod żadnym pozorem. Niektórzy z zamknięciem tem łączą trzydniowy post surowy, podczas którego skazują się na bezwzględne milczenie. Jeżeli konieczność wymaga odpowiedzi na jakieś pytanie, robią to znakami przy pomocy małej trzcinki trzymanej w ręku.

W niektórych okolicach wdowy wierzą, że dusza mężów przychodzi z tamtego świata dla odpoczynku przy ich boku, mianowicie, jeżeli za życia małżonkowie zgodnie żyli z sobą.

Wiara ta ciągłą napełnia je obawą, od której uwalnia je tylko kapłan przez kilkakrotne zanurzanie w wodzie, dowodząc im, że kąpiel podobna odpędza powód ich obawy.

Po ceremonii tej mogą powtórnie wychodzić za mąż, nie obawiając się już wyrzutów i złego obejścia ze strony zmarłego małżonka.

Tenże podróżnik zapewnia, że murzyni nad dolnem Congo wierzą, jako człowiek umierając porzuca żywot nędzny, pełny przeciwności i cierpień, a rozpoczyna inny, pełny szczęścia i uciech.

Opierając się na tem, usprawiedliwiają złe obchodzenie się swoje z chorymi dla przyspieszenia ich zgonu. Krewni konającego murzyna ciągną go z całej siły za nos i za uszy, biją go kułakami po twarzy, szarpią gwałtownie za ręce i nogi, zamykają usta, żeby prędzej się udusił. Inni znowu biorą konającego za głowę i za nogi i podniósłszy go jaknajwyżej, puszczają na ziemię; inni wreszcie gniotą mu piersi kolanami i łamią żebra.

Nieszczęśliwi nie wyobrażają sobie, że wszystko to robią z litości, ażeby choremu oszczędzić przeciągłego konania i prędzej go uwolnić od cierpień ziemskich.

Trzeciego dnia dopiero ciało krewnego królewskiego miało być owinięte w makuty, a do tego czasu żaden powód, choćby najważniejszy, nie mógł przerwać ceremonii.

Podczas najzaciętszych nawet wojen, samo ogłoszenie tuhumu, czyli obrzędu mumifikacyi, wystarcza do zawieszenia kroków nieprzyjacielskich. Traf więc sprzyjał Laennekowi nad wszelkie spodziewanie.

Skoro ostatnie promienie słońca znikły za górami Kassandże, wycia i tańce ustały jak zaczarowane wokoło nieboszczyka i każdy rzucił się na jadło, które kobiety, nie dopuszczone do ceremonii, podczas dnia przygotowały.

Niebawem wódka z ryżu i napój z fermentowanej durry, czyli prosa murzyńskiego (Sorghum), popłynęły strumieniem w chatach pospólstwa; magnaci spijali się wódką pomarańczową. Gobbi zaś, księżniczki i książęta krwi szukali w trafii bardziej monarszego upojenia.

Kiedy najpotężniejszy władca zaczął tracić zmysły, M'Kunié dał znak dwom młodzieńcom, którzy czekali, siedząc pod werandą mieszkania i wszyscy trzej, przesuwając się w milczeniu przez ciemne uliczki miasta, przybyli w dziesięć minut nad brzegi Congo. Z pośrodka mangrowów zarastających brzegi, ciche warczenie Wiernego zwiastowało ich przybycie.

— Kto idzie? — ozwał się głos Laenneka.

— To my! — odpowiedzieli razem Barthet i Guillois, drżąc ze wzruszenia.

— Milczenie... i ambarkuj — zawołał Laennec, przypominając sobie dawny swój zawód.

M'Kunié, odchylając mangrowy, przyprowadził młodych ludzi do niewielkiej pirogi, gdzie czekali na nich Bretończyk i M'Buana, murzynka, która stanowczo naparła się dzielić losy swojego pana.

— Cicho, Wierny, leżeć! Czy nie widzisz, że to swoi? — rzekł Laennec do psa, który miał ochotę rzucić się na przybyłych.

Rozumne zwierzę, położyło się natychmiast na spodzie czółna, w którem Barthet i Guillois zajęli miejsca obok przewodnika swego. Nie mówiąc ani słowa, Laennec każdemu podał karabin, proch i kule, nakoniec usiadł, klasnąwszy zlekka językiem.

Znak ten zrozumiany był natychmiast, bo pod ręką M'Kuniégo i M'Buany, trzymających wiosła, czółno powoli z wodą posuwać się zaczęło, ale tuż pod brzegiem, ażeby kryć się pod wysokiemi trawami i krzewami, tworzącemi okap zielony nad powierzchnią wody. Dopóki w oddali słychać było dzikie krzyki i śpiewy pogrzebowe, które przy pijatyce wznowione zostały, dopóty podróżnicy z obawy, aby nie dostrzegł ich jakiś krajowiec zabłąkany na brzegu rzeki, zachowywali najgłębsze milczenie. Noc była tak ciemna, że na kilka kroków przed sobą nic widzieć nie było można, a czółno co chwila się wikało w korzeniach spuszczających się do rzeki. Niedługo od strony Matta-Zamby dochodził ledwie ów szmer głuchy i nieokreślony, jaki wznosi się w nocy nad każdą miejscowością, w której tłum ludzi jest zebrany, ale za to po obu brzegach rzeki dało się słyszeć wycie dzikich zwierząt, śpieszących w niej ugasić pragnienie.

— Panowie — ozwał się Laennec, przerywając ciszę — pierwsza trudność pokonana, bo przedewszystkiem chodziło o wydostanie się stamtąd, ale bezpiecznymi nie jesteśmy jeszcze. Nie mam przez to na myśli zwierząt dzikich, które na drodze naszej spotkać możemy, bo mamy broń i bronić się potrafimy. Zresztą nie porzucimy rzeki, aż na jej dolnym przebiegu, dla uniknięcia febry zaraźliwej; która żadnego jeszcze nie oszczędziła Europejczyka, a wiecie, że febra z nad Congo to śmierć. Ale czego najbardziej w danej chwili obawiać się nam wypada, to pogoni Gobbiego na czele pięciu lub sześciuset ludzi, których spoi tafią i wódką ryżową, żeby pozbawić ich uroku, jaki mógłbym wywierać na nich.

— Czy sądzisz, że puści się za nami zaraz, jak tylko o naszej ucieczce się dowie?

— Tak sądzę, bo gotów będzie na wszystko, byle nas odzyskać, ma bowiem przekonanie, że będzie niezwyciężonym, dopóki białych mieć będzie w swem wojsku. Jednakże, jedną mam tylko otuchę!...

— Jaką?

(C. d. n)

TOMASZ GRANT.

Kleptomanka.

(Z angielskiego).

— Złodziej to jest zawsze tylko złodziej! — wyrzekł stanowczym głosem Wentworth.

— O! tak z wszelką pewnością tego twierdzić nie można — odpowiedział Robert.

Wentworth uśmiechnął się.

— Będziesz może chciał wmówić, Robercie, że złodziejstwo wywołuje jakiś bakcyl. Wiem, że wy, młodzież dzisiejsza, lubicie takie nowe pomysły.

— Rzeczywiście, myślałem o czemś podobnem — odparł Robert. — Nie będę mógł wam tego udowodnić naukowo, opowiem tylko ciekawą historyę.

Skupiliśmy się wszyscy wkoło niego, pewni, że usłyszymy coś zajmującego. Byliśmy przyzwyczajeni do tego, że Robert nie opowiada żadnych bredni. Tym razem opowiedział nam następującą historyę:

„Pierwszy raz opanowała ta chętka Edytę Robinson w chwili, kiedy stała przed tualetą i kończyła swą fryzurę. Włosy były słabą stroną piękności młodej dziewczyny, były krótkie i rzadkie. To też chcąc się modnie uczesać, musiała używać podkładów z obcych włosów i przypinanych warkoczy. Właśnie tego dnia kupiła sobie u fryzyerki wspaniały warkocz, którym starannie przyozdabiała głowę.

Nagle przypomniała sobie, że w oknie wystawowem jubilera widziała prześliczny grzebień, inkrustowany drogiemi kamieniami. Ogarnęła ją chęć nie do przezwyciężenia, aby zdobyć ten grzebień na własność.

Rzecz jednak dziwna, nie pomyślała zupełnie o tem, że mogłaby grzebień kupić, bo nic temu nie stało na przeszkodzie. Ojciec jej był bogaty i nie żałował bynajmniej pieniędzy na wydatki dla córki.

Żądza zdobycia grzebienia w nielegalny sposób opanowała Edytę z nadzwyczajną siłą. Nie mogła się wyzbyć tej myśli, która, jak magnes niewidzialny, ciągnęła ją do sklepu jubilera. Wreszcie przewrotna chęć zwyciężyła! Edyta weszła do sklepu i kazała sobie pokazać grzebienie.

Wybierała długo, krytykując i kaprysząc w sposób zupełnie dotychczas przez nią niepraktykowany przy załatwianiu sprawunków. Wszystko to czyniła w tym celu, aby nie okazać, że ją jeden grzebień specyalnie interesuje. Wkońcu skorzystała z tego, że sprzedający na chwilę odwrócił się, schwyciła upragniony grzebień i wsunęła go do swej torebki ręcznej.

Po dokonanej kradzieży powiedziała jubilerowi, że nie znalazła nic stosownego i przeprosiwszy go za długie szukanie, wyszła.

Powróciwszy do domu Edyta zamknęła się w swoim pokoju na klucz i z uczuciem dziwnej, niezdrowej radości wyjęła z torebki ukradziony grzebień. Przymierzała go do włosów i podziwiała w lustrze. Później jednak wyjęła go z włosów i schowała do zamkniętej szuflady.

Wieczorem, kiedy się rozebrała i pozdejmowała z głowy cudze włosy, odezwało się w niej sumienie. Zdała sobie sprawę z tego, że ona, Edyta Robinson, jest zwyczajną złodziejką, którą się powinno zamknąć do więzienia.

Przerażona swoim czynem dziewczyna postanowiła odnieść nazajutrz jubilerowi grzebień i wytłumaczyć, że kosztowne cacko zsunęło się przypadkiem do jej torebki.

Nie spełniła jednak tego zamiaru. Rano, kiedy się ubierała i ufryzowała, wyrzuty sumienia znikły bez śladu i Edyta zaczęła się ociągać z wykonaniem swego dobrego postanowienia. Dzień cały zmagała się ze sobą i ostatecznie grzebienia nie odniosła.

W ciszy nocnej znowu sumienie zaczęło się odzywać i tak przeszły cztery doby, w których dni były radosne, ale noce pełne wstydu i rozpaczy.

Owa dziwna moc, która popchnęła Edytę do kradzieży grzebienia, nie ustępowała. Młoda dziewczyna, robiąc w sklepach sprawunki, sama lub w towarzystwie, nie mogła się oprzeć złodziejskiemu popędowi i przywłaszczała sobie najrozmaitsze przedmioty, co jej przychodziło z łatwością, ponieważ żaden kupiec nie patrzył na ręce eleganckiej i bogatej klientce.

Edyta więc nietylko nie odniosła grzebienia, ale miała w swoim pokoju istny skład skradzionych rzeczy.

Powoli panna Robinson nabierała wprawy w złodziejskiem rzemiośle. Nosiła dużą torebkę, ogromną mufkę, bardzo luźną bluzkę, aby mieć schowek dla skradzionych przedmiotów. Palce jej zręcznie i z chciwością chwytały najrozmaitsze rzeczy, których zupełnie nie potrzebowała.

W dziennikach czytała z gorączkowem zainteresowaniem wszystkie notatki, tyczące się kradzieży. Nie znalazła jednakowoż żadnych wiadomości o popełnionych przez siebie kradzieżach. Były one zbyt drobnostkowe, aby kupcy mieli o nich donosić policyi.

Wertując dzienniki, Edyta pewnego razu wyczytała notatkę o aresztowaniu notorycznej złodziejki sklepowej, której nazwisko rzeczywiste brzmiało Nelly Brand. Policya od dłuższego czasu śledziła tę złodziejkę, która też zmiarkowawszy, co się święci, udawała się na połów, przebrana za mężczyznę.

Ostatecznie jednak sprytna Nelly Brand dostała się w ręce sprawiedliwości.

Dzienniki podawały rozmaite szczegóły o sposobach, przy pomocy których Nelly Brand dokonywała kradzieży. Edyta studyowała pilnie te „metody“ i okazała się uczenicą bardzo pojętną, ponieważ wkrótce w kradzieży doszła do mistrzostwa.

Do mufki jej wędrowały kawałki prawdziwych koronek, drogich jedwabiów, najrozmaitszego rodzaju klejnoty i tym podobne drobnostki, które z łatwością można było ukryć.

Manja Edyty wzrastała z dnia na dzień pomimo męczących nocy. Wreszcie nagromadziła takie mnóstwo przedmiotów, że musiała sobie sprawić specyalne kufry, w których przechowywała swoje skarby z tajemną radością.

Ręce dziewczyny nabrały takiej zręczności, że ruchliwe palce wykonywały swoją pracę bez pomocy oczu. Ściągała sprzedającym przedmioty prawie z pod nosa, w czasie, kiedy rozmawiała i pozornie była zajęta wybieraniem towaru.

Edyta została stałą klientką wszystkich wielkich sklepów, gdzie jednakowoż zakupywała tylko rzeczy małej wartości, przywłaszczając sobie jednocześnie cenniejsze.

Kupcy wiedzieli, że Edyta jest córką bogatego fabrykanta Robinsona, przytem miała w swem zachowaniu tyle godności i dystynkcyi, że najlżejsze podejrzenie nie padło na elegancką złodziejkę, pomimo, że już detektywi śledzili w sklepach rozmaite osoby, chcąc wykryć sprawcę kradzieży, popełnianych notorycznie od pewnego czasu.

Dziwnem wydawało się nieraz Edycie, że sumienie budziło się w niej dopiero w ciszy nocnej, wtedy, kiedy się już zupełnie rozebrała. Rano jednak, kiedy była ubraną do wyjścia, nocne skrupuły znikały zawsze, jak mgła.

Pewnego razu opanowało ją pragnienie sprawienia sobie jakiego amuletu, któryby ją chronił podczas niebezpiecznej czynności. Zdecydowała się wreszcie na złotą, szmaragdami wysadzaną szpilkę do kapelusza, którą tak, jak inne cenne drobnostki, przywłaszczyła sobie w nieuczciwy sposób.

Nosiła odtąd zawsze tę szpilkę, kiedy udawała się na kradzież, i czuła się zupełnie bezpieczną.

Amulet jednak okazał się niezupełnie pewnym, ponieważ Edytę spotkał

los wszystkich złodziei, to jest odkryto jej kradzieże.

W pewnym wielkim sklepie, który Edyta zaszczycała częstemi odwiedzinami, powziął podejrzenie młody subjekt, którego zastanawiało to, że zawsze bytność tej stałej klientki łączyła się ze zniknięciem jakiegoś cennego przedmiotu. Młodzieniec pałał chęcią schwytania złodziejki na gorącym uczynku, ponieważ właściciel zaczął podejrzewać personal sklepu o udział w kradzieżach. To też śledził bacznie Edytę i pewnego razu poprosił ją grzecznie, aby zechciała udać się z nim do kancelaryi jego szefa.

Edyta miała właśnie przy sobie kilka przedmiotów skradzionych, nie okazała jednak zmieszania, ani nie opierała się, lecz poszła pozornie spokojna za młodym człowiekiem.

Musieli przejść przez długi, ciemny kurytarz, w którym Edyta zauważyła kilkoro drzwi, prowadzących wprost na ulicę. W rozpaczy chwyciła się środka ostatecznego i chcąc się ratować za wszelką cenę, zdecydowała się na zbrodnię. Wyrwała gwałtownym ruchem swój amulet z kapelusza i wbiła ostry koniec szpilki w szyję nic nieprzeczuwającego młodzieńca, który postępował przed nią, wskazując drogę.

Subjekt padł na ziemię.

Edyta, spełniwszy ten czyn zbrodniczy, wybiegła jak szalona na ulicę. Przecisnęła się przez tłum ludzki i wskoczyła do dorożki. Rzuciła dorożkarzowi swój adres, każąc jechać, co koń wyskoczy.

Po przybyciu do domu dziewczyna pobiegła do swego pokoju, zamknęła się na klucz, zrzuciła prędko suknie i obce włosy i położyła się do łóżka. Wtedy opanował ją taki chaos najrozmaitszych, najczarniejszych myśli. taki wstyd, rozpacz. żal, że zaczęła histerycznie płakać i krzyczeć.

Rodzina, która musiała wyłamywać drzwi do pokoju Edyty, skoro się zjawił w domu urzędnik policyjny, zastała ją w gorączce, patrzącą dziko bezprzytomnemi oczyma, wijącą się i krzyczącą w przystępie ataku histerycznego.

Zawezwano lekarza, który określił chorobę Edyty jako gorączkę nerwową. Kilka tygodni leżała Edyta w łóżku w stanie, budzącym litość. Tymczasem ojciec jej zrozpaczony badał przy pomocy detektywów haniebną działalność swojej córki. Wszystko wyszło na jaw. panu Robinsonowi udało się jednak zażegnać publiczny skandal. Subjekt, którego Edyta zraniła szpilką, wyzdrowiał na szczęście, a stosunki, wpływy i pieniądze Robinsona zdziałały to, że sprawę udało się załagodzić i zapobiedz temu, aby się dostała na łamy dzienników.

Oderwano zamki u kufrów w pokoju Edyty i zwrócono skradzione przedmioty prawym właścicielom przy pomocy drogo okupionego pośrednictwa.

Zdrowie powoli wracało Edycie. Nie pamiętała nic z tego, co się stało. Jakaś dobroczynna siła zatarła narazie w jej umyśle wspomnienie o złej przeszłości.

Wiedziała tylko, że była ciężko chora i starała się jak najprędzej przyjść do zdrowia.

Wreszcie nadszedł dzień, kiedy Edyta mogła się podnieść z łóżka i o własnych siłach ubrać się i uczesać. Cieszyła się, jak dziecko, powrotem do zdrowia i chciała w tym dniu wesołym upiąć sobie nową fryzurę, używając przytem, jak zwykle, fałszywych włosów.

Nagle wśród czynności wplatania cudzych włosów powróciła jej pamięć tego, co się stało, a razem ze wspomnieniem powróciła ta dzika, szalona żądza, żeby kraść, i kraść, jak najwięcej! Przypomniała sobie okropne dni, jakie przeżyła przed chorobą. Kradła więc! Naprawdę kradła ona, Edyta Robinson, i teraz ma ochotę kraść. Ale skąd to właściwie wszystko pochodzi?!

Rozejrzała się po pokoju, jakby pytając, szukając sprawcy. Wzrok jej padł na marmurowy blat tualety, na którym leżał czarny warkocz, zwinięty jak wąż-kusiciel. Ten splot obcych włosów wydał się Edycie jakaś żywa, wrogą, a niebezpieczną istotą. Prawie z lękiem odwróciła oczy od niego.

Po chwili jednak roześmiała się. Cóż złego mógł jej zrobić ten biedny warkocz. w którym jej było tak do twarzy? Przywidzenie jakieś poprostu, nic więcej.

Upłynęło dni kilka, a niechęć Edyty ku obcemu warkoczowi wzrastała instynktownie, pomimo perswazyi rozsądku. Przestała nosić go, jakkolwiek ta czarna, piękna ozdoba głowy ciągnęła ją ku sobie jakąś tajemną mocą.

Nie mogła się jednak oprzeć ciągłej myśli o warkoczu i wkońcu zapragnęła się dowiedzieć, do kogo te piękne włosy pierwotnie należały. Pragnienie to stawało się coraz silniejsze, tak, że chociaż Edyta uważała je za śmieszne i dziecinne, ostatecznie uległa mu.

Poszła do sklepu fryzyerskiego, gdzie kupiła warkocz, i zapytała właścicielkę, czy sobie nie przypomina, od kogo nabyła te włosy.

Fryzyerka się roześmiała:

— O! dobrze sobie przypominam te osobę — powiedziała. — Włosy jej powędrowały prosto z głowy do naszej gablotki. Kobieta, która posiadała te włosy, była naszą klientką. Przychodziła często czesać się do nas. Była to wysoka, piękna kobieta, zawsze bardzo elegancko ubrana. Moi pomocnicy ubiegali się o to, który ją ma fryzować, bo ta dama dawała zawsze sute napiwki. Najczęściej jednak czesałam ją sama, bo sprawiało mi prawdziwą przyjemność trzymanie w rękach tych prześlicznych, miękkich, puszystych włosów.

Pewnego razu pani ta przyszła, pytając, czy nie kupię jej włosów. Roześmiałam się, ponieważ przypuszczałam, że żartuje. Któżby się chciał pozbywać tak bujnych splotów? Żartem też odpowiedziałam: „chętnie".

— Ile warte są te włosy?

— Powiedziałam też wysoką cenę, chcąc jej pochlebić. Wtedy rzekła:

— Dobrze, niech pani obcina.

Byłam zdumiona. chciałam protestować i tłumaczyć, ale dama oświadczyła, że włosy są za ciężkie i powodują mocne bóle głowy, dlatego postanowiła nieodwołalnie włosy obciąć, a jeżeli ja ich nie kupię, to uda się do kogo innego. Takiego kupna okazyjnego nie mogłam z rąk wypuścić i obcięłam piękne włosy własnemi rękami, chociaż żal mi było tych przepysznych splotów. Włosy były tak delikatne i starannie utrzymane, że nie pozostało mi nic innego, jak upleść z nich warkocze.

— Kto była ta kobieta? — zapytała Edyta. — Pani wie może, jak ona się nazywała?

Właścicielka sklepu roześmiała się znowu.

— Ach... to była nadzwyczajna historya, która panią napewno zabawi. O nazwisku mojej czarnowłosej klientki dowiedziałam się znacznie później. Nazywała się Nelly Brand i była złodziejką sklepową. Kazała sobie obciąć włosy, ponieważ chciała się przebrać za mężczyznę i w tem przebraniu grasować po sklepach. Ale włosy, to już coprawda miała piękne i ja zrobiłam niezły iteres. I pani się ten warkocz podobał, nieprawdaż? Jest pani z niego zadowolona? Jest taki lśniący, puszysty i jakiś dziwny... Zupełnie robi wrażenie, jakby żył..."

Robert umilkł.

— No i cóż się stało dalej? — zapytał ktoś.

Robert wzruszył ramionami.

— Dalej już nic nadzwyczajnego. Edyta od tego czasu przestała nosić obce warkocze, a mania kradzieży nie powróciła już nigdy. Ja zresztą nie twierdzę, aby ta mania pozostawała w jakim związku z warkoczem Nelly Brand. O tem nic nie wiem. Znam tylko tę historyę, którą wam opowiedziałem.

ALEKSANDER DUMAS.

HRABIA MONTE-CHRISTO.

14 (Ciąg dalszy).

— Mój kochany Blacas, nie dajesz mi nic robić z swojemi postrachami.

— Najjaśniejszy Panie, radbym bardzo podzielać Waszą spokojność.

— Poczekajno, poczekaj mój hrabio. Bardzo dobre znalazłem do pewnego miejsca objaśnienie, niech skończę, potem będziesz mówił dalej.

Nastała chwila milczenia, w czasie której Ludwik XVIII zapisał charakterem, jak można najdrobniejszym, nową notę na marginesie Horacyusza, napisawszy, rzekł: — Mówże teraz, — wszczął monarcha, powstając z miną człowieka zadowolonego, który sądzi, iż wpadł na myśl nową, gdy cudzą odgadł, — mów dalej, słucham cię.

— Królu, — rzekł Blacas, — winienem cię uprzedzić, że to, co mówię, nie są proste wieści bez dowodów i zasad, zwyczajne na wiatr puszczane nowinki, któreby mnie niepokoić mogły; człowiek myślący, zasługujący na ufność zupełną i któremu ja poruczyłem czuwanie nad południową częścią kraju (hrabia z trudnością wyrazy te wymówił), przybył oto pocztą z tem tylko, aby mi powiedzieć: „że wielkie niebezpieczeństwo grozi królowi“, dlatego przybiegłem tu Najjaśniejszy Panie.

„Mala ducis avi domum“, czytał następnie Ludwik XVIII, pisząc notaty na swoim Horacyuszu.

— Czy Wasza Królewska Mość zakazuje mi wreszcie dotykać tego przedmiotu?

— Bynajmniej, mój drogi hrabio. Ale sięgnijno tam ręką na lewo; powinien tam być raport ministra policyi z daty wczorajszej, ale nie; oto go masz: wszak i sam minister policyi? — zwrócił się Ludwik do wchodzącego. — No baronie chodź i powiedz hrabiemu wszystko, co tylko wiesz z najświeższych nowin o panu de Bonaparte. Nie osłaniaj nam prawdy, jakkolwiek przykrą i ciężkąby była. Przekonajmy się też, czy ta Elba jest owym wulkanem, z którego mamy ujrzeć występującą wojnę ognistą i srogą, bella horrida bella?

— Najjaśniejszy Pan, — rzecze minister, — czy raczył dobrze przejrzeć raport wczorajszy?

— Niezawodnie, ale powiedz sam habiemu, bo go znaleźć nie może, co ten uzurpator robi teraz na wyspie.

— Panie, — rzekł baron do hrabiego, — wszyscy wierni Jego Królewskiej Mości słudzy, powinni się cieszyć z nowin najświeższych z wyspy Elby o Bonapartym nas dochodzących...

Minister spojrzał na Ludwika XVIII, który zajęty notami swojemi, ani się obejrzał w tę stronę.

— Bonaparte, — mówił następnie baron, — nudzi się teraz śmiertelnie; całe dni przepędza na doglądaniu górników w Porto-Longone. Więcej powiem, jesteśmy prawie pewni, że uzurpator w krótkim czasie dostanie pomieszania zmysłów.

— Pomieszania zmysłów?

— Tak jest, w najwyższym stopniu. Zupełnie stracił już władze umysłowe. Płacze czasem gorącemi łzami, to znowu śmieje się na całe gardło; czasem kilka godzin przepędza nad brzegiem, rzucając kamyki w wodę, a kiedy kamyk odbije się pięć lub sześć razy, kontent jest, jakby wygrał znowu bitwę pod Marengo lub Austerlitz; nie sążto, przyznaj pan hrabia symptomata pomieszania?

— Albo też może mądrości, panie baronie, może mądrości — rzecze Ludwik XVIII, śmiejąc się. Boć przecież ćwicząc się na rzucaniu kamyków w morze, kształcili się wielcy wodzowie starożytności. Czytaj Plutarcha, życie Scypiona Afrykańskiego. I cóż myślisz o tem Blacas, — rzekł król odkładając na chwilę kompilacye starożytnej literatury.

— Myślę, Najjaśniejszy Panie, że albo ja, albo pan minister policyi, myli się. Ponieważ jednak niepodobieństwo, aby pan minister policyi strzegący dobra i honoru Waszej Królewskiej Mości, mógł się omylić, mógł być w błędzie, a więc ja naturalnie wolałbym przecież będąc na miejscu Waszej Królewskiej Mości wybadać osobę, z którą ja mówiłem; ja nawet będę nalegał abyś Wasza Królewska Mość sam ten zaszczyt jej wyświadczył.

— Bardzo chętnie hrabio; przyjmę wszystko co zechcesz pod twoją opieką, ale przyjmę z orężem w ręku. Panie ministrze, czy nie masz świeższego raportu jak ten, bo tu data 20 lutego, a dziś mamy 4 marca.

— Nie mam Najjaśniejszy Panie, ale co chwila go oczekuję. Wyszedłem rano; być może, że w czasie nieobecności mojej go otrzymano.

— Idź więc do prefektury i jeśli jest jaki, to go przynieś; jeśli nie ma, to... to cóż? — mówił dalej z uśmiechem Ludwik XVIII, to zrób, wszak to tak bywa?

— O Najjaśniejszy Panie, — rzekł minister, dzięki Bogu, pod tym względem nie potrzebujemy nic wyszukiwać i tworzyć; co dzień napastują biura nasze najrozmaitsze okolicznościowe denuncyacye pochodzące ze strony tłumów biedactwa, liczącego na jakąś wdzięczność, za usługi których nie świadczy, ale świadczyćby chciały. Mówią na los i spodziewają się, że kiedyś wypadek jaki niespodziany, urzeczywistni ich przepowiednie.

— Idź tedy, mój panie, — rzekł Ludwik XVIII i pamiętaj, że czekam tu na ciebie.

— Pójdę i zaraz wracam na rozkazy Waszej Królewskiej Mości; za dziesięć minut jestem tu.

— A ja Najjaśniejszy Panie, — rzekł Blacas, — idę po mojego posła.

— Poczekaj jeszcze — rzekł Ludwik. — chciałbym się ciebie poradzić w tem miejscu: Molli fugies anhelitu.

— Wiesz naturalnie, że tu idzie o jelenia ściganego od wilka, czyś czasem nie myśliwy? jak uważasz ten podwójny „epitet molli anhelitu?“

— Dobrze, dobrze Najjaśniejszy Panie, to też mój poseł jest właśnie podobny do owego ściganego jelenia, bo zrobić dwieście mil drogi pocztą we trzy dni niespełna?

— Tyle trudów, tyle starania i gorliwości, mój kochany hrabio; czyż my nie mamy telegrafów co we trzy lub cztery godziny udzielają wiadomości, a płuca ich nie czują najmniejszego znużenia.

— Najjaśniejszy Panie, czyż tak odpłacasz człowiekowi, co z tak daleka przybywa, z takim zapałem i poświęceniem, aby ci udzielił użytecznej przestrogi. Choćby to tylko przez wzgląd na pana Servieux, który mi go poleca, racz go Najjaśniejszy Panie przyjąć, błagam Cię.

— Pan de Servieux, szambelan mego brata.

— Ten sam.

— A w rzeczy samej, on mieszka w Marylii.

— Właśnie stamtąd pisze do mnie.

— Czy wspomina ci co o spisku?

— Nic wcale, poleca mi tylko pana Villeforta i prosi, abym mu wyjednał posłuchanie u Waszej Królewskiej Mości.

— Pan de Villefort! — zawołał król! czemużeś mi odrazu nie wymienił jego nazwiska? — odpowiedział król, okazując pierwszy ślad niespokojności.

— Najjaśniejszy Panie, myślałem, że to nazwisko mu nieznane.

— O bynajmniej, znam go dobrze, mój kochany Blacasie, to człowiek energiczny, wzniosłego charakteru, nadewszystko dumny: i cóż u Boga, czyż nie znasz nazwiska jego ojca? Noirtier.

— Noirtier żyrondysta, Noirtier senator.

— Ten sam.

— I Wasza Królewska Mość przyjąłeś do usług swych syna takiego człowieka?

— Kochany hrabio. mówiłem ci, że Villefort jest dumny nadzwyczaj; aby dopiąć celu, poświęci ojca własnego.

— A więc mam mu kazać wejść?

— Natychmiast, hrabio, gdzież on jest?

— Czeka mnie zapewne na dole w moim powozie.

Hrabia wyszedł żywo jak młodzieniec dwudziestoletni, z zapałem szczerego i poświęconego rojalisty.

Ludwik XVIII pozostał sam przeglądając Horacyusza na pół otwartego i mruczał:

Justum et tenacem proponit virum.

Pan Blacas wrócił z tąsamą szybkością, z jaką zeszedł; w przedpokoju zmuszony był odwołać się do władzy królewskiej. Zakurzone suknie Villeforta, ubiór, w którym nie było nic a nic, coby prawom etykiety zadość czyniło, w mistrzu obrzędów obudziły podejrzenie; zdziwił się też najmocniej dowiedziawszy się, że ten młody człowiek ma zamiar przedstawienia się królowi: hrabia wszystkie te trudności jednem słowem usunął. R o z k a z k r ó l a, i pomimo kilku jeszcze uwag mistrza obrzędów, Villefort został wprowadzony. Król siedział jeszcze na temsamem miejscu, gdzie go zostawił hrabia. Drzwi się otworzyły i Villefort stanął przed królem — posunąwszy się parę kroków — cofnął się nieco.

— Wejdź panie Villefort, wejdź — rzekł król.

— Villefort skłonił się i postąpił kilka kroków, czekając na zapytanie króla.

— Panie Villefort — mówił dalej Ludwik XVIII — oto hrabia Blacas. który mi donosi. iż mi pan masz coś ważnego do powiedzenia.

— Najjaśniejszy Panie, hrabia ma słuszność, spodziewam się, że Wasza Królewska Mość sam to przyznasz.

— Naprzód i przedewszystkiem. mój panie, powiedz, czy złe jest tak wielkie podług twojego zdania, jak mi go koniecznie wmawiają.

— Najjaśniejszy Panie, jest bliskiem i gwałtownem: dzięki jednak pilności mojej, zdaje się, że można mu zapobiedz.

— Opowiedz mi wszystko obszernie, proszę cię — rzekł król, i już zdawał się zaczynać ulegać wpływowi wzruszenia, które zmieniło twarz pana de Blacas, a drżącym czyniło głos Villeforta. — Mów, a przedewszystkiem proszę cię, zaczynaj od początku; lubię wszędzie początek.

— Najjaśniejszy Panie, przedstawię ja tu wiernie rzecz całą. ale śmiałbym prosić Waszej Królewskiej Mości o pobłażanie, jeżeli pomięszanie, w jakiem się czuję, niejasnemi słowa moje uczynią.

Po tej przemowie. Villefort jednym rzutem oka zbadał i poznał przychylność, dostojnego swego słuchacza i tak dalej mówił:

— Najjśniejszy Panie, przybyłem do Paryża jak mogłem najprędzej, żeby uwiadomić Waszą Królewską Mość, ilem odkryć zdołał w miejscu mojego urzędowania i znaczenia. Nie jestto zwyczajny spisek bez następstw i rozmysłu ułożony. jakie codzień prawie odkrywamy w gminie lub szeregach wojska, ale sprzysiężenie rzeczywiste, burza zagrażająca tronowi Waszej Królewskiej Mości; Najjaśniejszy Panie, uzurpator uzbraja trzy okręty: być może. iż plan jego szalony, ale niemniej straszliwy przez to właśnie, że szalony. W tej chwili opuścił już zapewne wyspę Elbę i zmierza, nie wiem gdzie mianowicie, ale niewątpliwie będzie próbował wylądować albo w Neapolu, albo na brzegach Toskanii, albo nawet we Francyi. Wasza Królewska Mość nie wie, że pan wyspy Elby, utrzymuje stosunki z Włochami i Francyą.

— O wiem, mój panie, wiem — rzecze król bardzo wzruszony — niedawno jeszcze donoszono mi, że na przedmieściu Saint-Jacques tworzyły się związki Bonapartystów. Mów pan jednak dalej, proszę, skąd masz te wszystkie szczegóły?

— Najjaśniejszy Panie, pochodzą one od pewnego młodzieńca z Marsylii. którego mając oddawna w podejrzeniu, poddałem indagacyi i kazałem aresztować w sam dzień mojego wyjazdu; człowiek ten dobry marynarz, podejrzany dawno o bonapartyzm, był potajemnie na wyspie Elbie. Widział się z marszałkiem, odebrał od niego ustne zlecenie do jakiegoś Bonapartysty w Paryżu. którego imienia nie chciał w żaden sposób wymienić; treścią tego polecenia miało być przygotowanie umysłów do rychłego powrotu i to niezawodnego, są to słowa z indagacyi.

— Gdzież jest ten człowiek? — zapytał Ludwik XVIII.

— W więzieniu, Najjaśniejszy Panie.

— Uważasz więc tę sprawę za ważną?

— Tak dalece ważną, że gdy wiadomość o tem zdarzeniu doszła mię w czasie samej uczty familijnej, w dzień moich zaręczyn. porzuciłem wszystko, narzeczoną, przyjaciół, wszystko do późniejszego czasu wstrzymałem, aby złożyć u stóp Waszej Królewskiej Mości obawy, które mnie trapiły i zapewnienie mojego poświęcenia.

— Prawda — rzekł Ludwik XVIII — wszak podobno był projekt połączenia cię z panną de Saint-Méran?

— Z córką najwierniejszego sługi Waszej Królewskiej Mości.

— Tak, tak, ale wróćmy do spisku, panie Villefort.

— Najjaśniejszy Panie, nie jestto podług mnie spisek kilku, ale ogólne sprzysiężenie...

— Zamach w tym czasie — rzekł Ludwik XVIII z uśmiechem — łatwo bardzo zamierzyć, ale trudniej bez porównania doprowadzić do skutku, choćby dlatego tylko, że gdy obecnie umocnieni jesteśmy na tronie, czujne oko nasze zwraca się i na przeszłość, na teraźniejszość i na przyszłość. Od dziesięciu miesięcy ministrowie moi podwajają straż nad brzegami morza Śródziemnego. Gdyby Bonaparte wylądował w Neapolu, całej Koalicyi armia stanęłaby jednej chwili na stopie wojennej, zanimby doszedł do Piombino; gdyby wysiadł w Toskanii, wysiadłby na ziemię nieprzyjacielską, gdyby zaś wylądował we Francyi, to z garstką ludzi, łatwobyśmy go pokonali, mając pomoc w narodzie. Bądź więc pan spokojny i licz razem na naszą królewską wdzięczność.

— A otóż i pan minister policyi — zawołał hrabia Blacas.

I rzeczywiście w tejże chwili ukazał się na progu minister policyi, blady, drżący, spojrzenie niepewne jakby nadzwyczajnym blaskiem porażone. Villefort postąpił krok ku drzwiom. ale ściśnienie ręki pana Blacas zatrzymało go.

(C. d. n.).

A. BONUSS.

Z cyklu „Gehenna“.

Wróć do mnie jeszcze — ty, kochanie moje!
niech twym widokiem znowu się upoję,
niech w twym uścisku znowu się rozpieszczę!...
Wróć do mnie jeszcze...

Wróć do mnie jeszcze! Ja po tobie płaczę —
bez ciebie ciężkie moje dnie tułacze;
a żalu więcej w piersi już nie zmieszczę!...
Wróć do mnie jeszcze...

Wróć do mnie jeszcze, ach — wróć z tej oddali,
zanim tęsknota serce mi przepali,
nim pieśń o tobie zdławią skonu dreszcze —
Wróć do mnie jeszcze...

Zdradzieckie słońce.

Słońce to sprawiło, słońce wiosenne, okrutne słońce wiosny, które wchłonęło wsiebie wszystkie mgliste osłony zimowe. —I wszystkie przedmioty i ludzi odsłania nam w ostrych, bezlitosnych konturach! Prześwietla na wskróś wypłowiałe ich barwy. Całą naszą biedę wyciągnęło na jaw, a kto tak przejdzie się w dzień jasny, słoneczny przez park i przyjrzy, jak to natura stroi się w zieleń i barwną szatę kwietną — to zdaje mu się jakby w jasny dzień chodził pośród upiorów, istnych karykatur nędzy wyrzeźbionych mistrzowskiem dłutem artysty. Zapadłe policzki, twarze na których bieda wyżłobiła bruzdy, zaczynają wtedy mówić i opowiadać. Skóra obwisłą na szyi i brodzie, przedwcześnie posiwiałe włosy, przygarbiono postacie, wlokące się zaledwie, one przemawiają wyraźną mową i widzi się dopiero jak ludzie we Lwowie, że się tak wyrażę banalnie w tych sześciu latach skurczyli się straszliwie. Tak się skurczyli, jak sprany kawał płótna. Bo i w rzeczywistości, czyż nas los nie prał zajadle? — Wystarczy przyjrzeć się znajomym. Widywało się ich i w zimie, a przecie chyba tak nagle się nie „skurczyli“ i postarzeli? Przecież było się przytem, widziało, dzieliło wspólnie dolę, tego kurczenia i starzenia. Lecz dopiero słońce wiośniane — jakby laską czarownika — uwydatnia nam te wszystkie zmiany.

Ten tam naprzykład radca sądowy. Zdaleka jakby się nic nie zmienił. Może zeszczupłał nieco, lecz wyprostowany, elegancki jak zawsze. Zbliża się, na powitanie uchyla kapelusza. I nagle jakby go kto odmienił. Wiosenny promień słońca igra na jego głowie ubielonej. Ależ na Boga, przecie niedawno jeszcze ten człowiek nie miał szronu na głowie. Nie, to niepodobna! Tak gwałtownie posiwieć przecie nie można. Chyba jakaś straszna katastrofa tak mu się przysłużyła! A przecie nie wiesz o niczem podobnem. Nie, to owych sześć lat, które mamy poza sobą — a słońce wiosny nagle je odsłoniło. A młoda, ładna żona profesora mieszkająca w tym samym domu. Twarzyczka jej tak zmalała, taka przeźroczysta, oczy w obwódkach cienistych, a same oczy, choć piękne, tak śmiertelnie znużone. Jeszcze jest ładna ta młoda kobieta, i ubiór jest jeszcze staranny, ale cały jej wygląd przypomina kwiat, który stał długo w cieniu. I brak mu było słońca i ożywczych jego promieni. A ten inżynier, co to jak Cezar dumny kroczył ulicą, elegant, pogromca kobiet, jakże strasznie się zmienił.

Postarzał się, krawatka związana niedbale a twarz jego zapadła i skronie opowiadają więcej, niżby sam tego pragnął. Kołnierzyk za szeroki odstaje wokół zwisłej szyi. Znamienne to istotnie i byłoby komicznie, gdyby nie było tak smutne, w jak dziwnie odwrotny stosunek popadły kołnierzyki wobec szyi, którym służyły ongiś jako ozdoba.

Im węższa i im więcej pomarszczona szyja, tem szerszy jest obwód kołnierzyka.

Wogóle na nasz zewnętrzny ubiór uwzięło się słońce wiosenne! Co łaskawie ochraniało i osłaniało *claire obscure* zimy, wyciągnęło tak bezwzględnie, niedyskretne słońce. Kapelusz czarny przeziera już „zielenią“— „wyświechtane“ spodnie, surdut nicowany, na łokciach cera na cerze, rękawiczki podejrzanego wyglądu, uginające się pod ciężarem lat buciki, wszystko to zdradza nas i demaskuje na każdym kroku. I taka przechadzka w piękny dzień wiosenny, która przedtem radowała i tyle słodkiej dawała podniety, gdy to nas cieszył każdy liść zielony, każdy pączek kwiecia, taka przechadzka ma w sobie dziś coś niewypowiedziane melancholijnego, jest okrutną przyjemnością, jakby tańcem upiorów. Pokazuje nam bezlitośnie — co się z nas stało. Wszystkiemu winno niedyskretne słońce.

Na boisku footbalistów.



Jak zostać milionerem?

Wytrwałość wszystko przezwycięża.

Mamy wielu ludzi bardzo zdolnych, mamy jeszcze więcej zdrowych i szczęśliwych pomysłów, ale brak nam wytrwałości w przeprowadzeniu rozpoczętego dzieła do końca. Ten brak wytrwałości jest właśnie naszym błędem narodowym. Rozpoczynamy nieraz wielkie przedsięwzięcia i ustajemy w połowie drogi; zniechęca nas nawet nieraz błahostka — do doprowadzenia dzieła do końca. Czy wina za to spada na nasze wychowanie, czy też wada ta leży już w naszej krwi — tego tu rozbierać nie będę; wiemy jednak, że nie mamy wytrzymałości nieodzownej w przeprowadzeniu zamysłów, a samopoczucie — wiele już znaczy, bo wskazuje nam drogi, jak leczyć się z niego. Wiele bezwarunkowo dokonać mogą przykłady wytrwałości innych, albowiem zachęcają nas do wstępowania w ich ślady, do naśladownictwa.

Wzór właśnie takiej wytrwałości niezwykłej przytaczam tu dzisiaj.

W pobliżu miasta San Bernardino w Kalifornii mieszkał niezamożny do niedawna farmer, nazwiskiem George Mitchel Macdonald.

Grunta tam nieszczególne, gdyż teren tam górzysty, i właściciel zajmował się więcej chowem bydła, aniżeli rolnictwem. Hodowla bydła nie opłacała się Macdonaldowi również należycie, gdyż na podłożu skalnem nie rosła trawa soczysta. Od dłuższego więc czasu przemyśliwał on, jakby byt swój polepszyć.

W jakiś czas potem poznał on niejakiego Marcellusa Seagers'a, zawodowego pszczelarza, i dowiedział się od niego, że pszczoły to wcale intratny interes, jeżeli prowadzi się gospodarstwo pszczelne w sposób postępowy.

Macdonald zainteresował się tem, i odwiedził pasiekę Seagers'a, gdzie też pozostał przez kilka miesięcy, by poznać dokładnie tajniki pszczelnictwa. Zakupił też kilka pni pszczelnych i rozpoczął na swojej farmie hodowlę pszczół.

Wiodło mu się też wcale dobrze, gdyż po trzech latach posiadał już 300 pni w swej pasiece, i miód przynosił mu wcale pokaźne zyski każdego roku.

Macdonald cieszył się z tego powodzenia, i obiecywał sobie, że za lat kilka stanie się najbogatszym w okolicy farmerem.

Los tymczasem inaczej zrządził. W okolicy San Bernardino pojawił się nagle zgnilec, t. j. choroba wśród pszczół, która niszczy całe pasieki. Zgnilec ten pochodzi stąd, iż płód matek, czyli tak zwany czerw, złożony w komórkach plastrów się zaziębia i gnije. Tworzą się skutkiem tego bakcyle, które wśród pszczół wywołują takie same spustoszenia, jak cholera azyatycka w niehygienicznych miejscowościach rosyjskich. Najfatalniejsze przytem, że wszelkie środki, jakich dotąd używano w pasiekach, celem stłumienia zgnilca, zawodziły i palić musiano ule z pszczołami, oraz wszelkie urządzenia, by uniemożliwić dalsze szerzenie się tej choroby.

Zgnilec nawiedził też pasiekę Macdonalda i zniszczył ją zupełnie. Macdonald stał się teraz biedakiem, gdyż w pasiekę włożył znaczny kapitał, jaki zaciągnął na swoją farmę.

Inny rozpaczałby na miejscu Macdonalda, ale ten przyjął ze spokojem katastrofę. Sprzedał więc połowę swojej farmy na pokrycie zaciągniętego na pszczoły długu, i zaczął się namyślać, jakim sposobem możnaby położyć koniec zgnilcowi. Dodać tu bowiem należy, że w okolicy Macdonalda padło ofiarą zgnilca przeszło 10.000 pni pszczelnych...

Co zatem dzielny ten człowiek czyni? Oto sprowadził sobie rozmaite dzieła pszczelnicze i zaczął studyować przyczyny powstania zgnilca. Po długiem i mozolnem badaniu przyszedł do konkluzyi, że gdyby plaster z wosku można zastąpić plastrem sztucznym, sporządzonym z jakiegoś materyału, któryby można z łatwością desynfekcyonować — to możnaby zapobiedz zgnilcowi.

Jaki jednak użyć ku temu materyał? Żelazo i stal były za ciężkie, papier nie nadawał się do tego również, Macdonad zatem spróbowałaluminium.

Osiem lat czynił on doświadczenia i odkrył nareszcie, że pszczoły przyzwyczaiły się do plastru z aluminium i znoszą miód do jego komórek tak samo, jak to plastru z woszczyzny.

Opatentował ten wynalazek i rozpoczął wyrób tych plastrów. Doświadczenia jego poprzednie kosztowały go wiele: musiał więc sprzedać swoją farmę i bydło, i najął sobie mały domek z ogrodem, w którym trzymał kilka uli z pszczołami do doświadczeń.

Po długich staraniach udało mu się stworzyć spółkę do eksploatacyi swego wynalazku z kapitałem 14.000 r. Pierwsze plastry jego pomysłu i wyrobu spotkały się z niedowierzaniem.

W krótce jednak odebrał listy z uznaniami i ukazały się pochwały i listy dziękczynne w rozmaitych gazetach pszczelniczych. Zamówień przybywało z każdym dniem coraz więcej, a to nietylko ze Stanów Zjednoczonych, ale i z Anglii i innych krajów. Obecnie Macdonald buduje fabrykę z kapitałem 500.000 dol., gdyż dotychczasowa okazała się za mała i nie może podołać zamówieniom.

Wytrwałość i praca zwyciężyły, a Macdonald, jak donoszą dzienniki z Kalifornii, jest na drodze do zrobienia milionów... **Stach Radło.**

„Sztuka przedłużenia życia".

Nowe dziełko.

„Makrobiotyka", czyli ta z greckiego języka zapożyczona nazwa sztuki przedłużenia życia, opracowaną była już dawno w języku włoskim przez L. **Cornaro** p. t. „D i s c o r s i d e l l a v i t a". Jest to jedno z najstarszych dzieł tego kierunku. Klasyczną na tem polu jest „Makrobiotyka" Hufelanda. Nowemu takiemu dziełku starają się obecnie w Ameryce wszelkiemi siłami utorować drogę. Reklamą jest między innemi ogłoszony przez naczelnego lekarza jednego z największych amerykańskich Towarzystw asekuracyjnych w szeregu dzienników artykuł „Złotych rad w przedmiocie długiego życia".

Niektóre z rad tych podajemy naszym czytelnikom: 1) **Nie irytuj się i nie unoś** nigdy **gniewem.** 2) Bądź **umiarkowany** we wszystkiem! 3) Przechadzaj się dużo po **świeżem powietrzu!** 4) **Każ się raz na rok zawsze zbadać ściśle przez lekarza!** 5) **Nie pozwalaj sobie tyć!**

Amerykanie tak są niedbałymi w przedmiocie swego zdrowia, że ta ich beztroska doprowadza lekarzy i Towarzystwa asekuracyjne do rozpaczy. Automobil swój posyła przeciętny Amerykanin co pół roku do fabryki celem przekonania się, co mu brakuje, ale o własnem zdrowiu poczyna zazwyczaj myśleć wtedy dopiero, **kiedy nie czas już na ratunek,** tak że lekarz powiada wówczas: „gdybyś się był począł leczyć przed rokiem!" Gdyby się był dał zbadać przed rokiem, lekarz byłby go ostrzegł, że nie powinien jadać tyle cukru, ani pić tyle alkoholu, lub unikać tego lub owego.

Przedewszystkiem zwraca się lekarz amerykański przeciw **otyłości:** **„Tłuszcz** jest szkodnikiem i **wytwarza choroby serca.** Muszkuł otłuszczony nie posiada **należytej siły.** Człowiek tłusty, który przejdzie zapalenie płuc, tyfus, a często tylko silne wrażenie, położył już **pierwszy kamień pod swój grobowiec.** Otłuszczenie **serca, nerek lub wątroby,** to już **początek końca".** Człowiek szczupły żyje przynajmniej o lat 20 więcej, niż człowiek otyły, w tych samych organicznych znajdujący się warunkach.

HUMOR i SATYRA.

Zosia i Karol.

W teatrze z chwilą pogaszenia świateł i otwarcia zasłony zaczyna się ruch na dobre. Wszystkiemi drzwiami wali publiczność i w ciemnościach rozpoczyna poszukiwanie miejsc właściwych. Nie jest rzeczą łatwą, pomyłki zdarzają się często, więc od czasu do czasu wybuchają wesołe śmiechy, nawet wówczas, gdy na scenie rozgrywa się dramat.

Ostatnio było może najweselej. Jakiś pan szukał długo swego miejsca i zawsze się mylił o jeden rząd. I ciągle kogoś szukał. Piszącego te słowa zapytał szeptem: „Czy to ty, Zosiu?“, i nie chciał wierzyć, gdym zaprzeczył. Sąsiadowi memu zrzucił binokle z nosa, a gdy ten schylił się, poszukując zguby, usiadł na nieboraku, twierdząc, że na tem miejscu będzie czekał do antraktu.

Z powodu ciasnoty szwędanie się tego jegomościa podnosiło na nogi cały rząd, co znów nie podobało się następnym. Sykano i wołano: „siadać!“ Gość się zniecierpliwił i szeptem, jak przystało na człowieka dobrze wychowanego, wołał: „Zosiu, gdzie siedzisz?“

Jednocześnie w przeciwnym końcu sali panienka jakaś poszukiwała uporczywie Karola. Znalazło się kilku Karolów, ale żaden z nich nie był Karolem właściwym, choć wszyscy w ciemności byli przystojni.

Dopiero w pierwszym antrakcie Karol odnalazł Zosię, a Zosia właściwego Karola. Ogromnie się ucieszyli — oni oboje oraz publiczność.

Bajeczka o orle i kruku.

Widząc kruk, że orzeł leci w górę z baranem w szponach, rzekł:

„Dobrze, że jestem krukiem: przynajmniej się nie nadźwigam!“. **L. J.**

*

W kawiarni.

— Cóż ten komedyopisarz siedzi z głową o piec opartą?...

— Odgrzewa stare dowcipy.



Życie paskarzy w niedalekiej przyszłości.

W zastępstwie Spółki wydawniczej: Franciszek Stankiewicz. Odpowiedzialna redaktorka: M. J. Migowa.
Drukarnia „Głosu Narodu“ w Krakowie, ul. św. Tomasza 35.